

Fragmenty *Baku, Moskwa, Warszawa*:

Arzu

Lipiec był wyjątkowo upalny tego roku. Znowu byliśmy razem i chodziliśmy nad morze poleżeć w cieniu skał. Tego popołudnia rozrzucone włosy Arzu były dosłownie wszędzie: na moim brzuchu, na klatce i szyi, a także na spodniach i udach. Docierały z powiewem wiatru nawet do ust. Lewą ręką wyciągałem je stamtąd delikatnie, wpatrzony w niebo. Prawa leżała niecierpliwie obok jej prostopadle ułożonych bioder.

— O czym myślisz? — spytała cicho spod zamkniętych powiek.

— O tym, czy umiałbym narysować mądrość albo strach. A potem pojawił się ten orzeł.

Spojrzała za moim wyciągniętym w górę palcem.

— I zastanawiam się, czy gdybym namalował go takiego małego na tle bezkresnego nieba, to czy byłaby to wolność...

Chwilę przyglądaliśmy się temu obrazowi w milczeniu.

— Chyba tak, ale mogłaby być to równie dobrze samotność — odpowiedziała zamyślona.

— Nie byłby na to zbyt drapieżny? — zapytałem.

— W takim razie byłaby to samotność drapieżnika.

— Albo idea, że zło zawsze się czai gdzieś tam w górze — dorzuciłem i zaśmiałem się głośno, aż zaczęła podskakiwać jej głowa wsparta na moim brzuchu.

— Przestań, bo dostanę wstrząśnienia mózgu.

— Myślałem, że dostałaś go znacznie wcześniej.

— Kiedy? — Podniosła głowę i spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Gdy ujrzałaś mnie po raz pierwszy, hahaha.

— To ciebie, głąbie, zatkało na mój widok! — Wydęła usta w udawanym gniewie. Po sekundzie jednak parsknęła śmiechem, rzucając: — Głupek!

— Sadiq, miło mi.

Wyciągnąłem dłoń, jak do przywitania. W odpowiedzi podniosła się na łokciu i szturchnęła mnie kuksańcem w żebra, a potem kolejny raz. Zacząłem się osłaniać i po chwili wywiązała się między nami wesoła szamotanina. Na końcu przycisnąłem ją do skały ciałem, unieruchamiając z tyłu jej ramiona.

— I co teraz? — spytała zaczepnie i podniosła lewą brew.

— Nie wiem — odpowiedziałem, nie rozumiejąc.

— Nie pocałujesz mnie?

Zdrętwiałem. Dosłownie zeszytywniałem, zupełnie jak grzeszni w Sodomie, jak kloc drewna albo jak nie wiadomo co... Arzu uśmiechnęła się do mnie wyrozumiale i czule jednocześnie, jakby chciała myślami pogłodzić mnie po włosach. Uwolniłem jej dłonie z mocnego uścisku, lecz nie wyciągnęła ich zza pleców, nadal uważnie wpatrując się w moje oczy. Wyzywająco i ciepło, jak ktoś bliski, kto czeka na ważną decyzję. Położyłem dłoń na jej przedramieniu i przesunąłem powoli do góry, nie odrywając wzroku – w końcu, jak uznałem, spojrzeniem można dokonać wszystkiego, nawet po pierwszym dotyku. Na chwilę spoważniała, a potem uśmiechnęła się niemo, samymi kącikami ust. Przybliżyłem twarz do jej twarzy i wtedy poczułem jej gorący oddech. Ponieważ

razem z nim dotarł do mnie intensywny zapach śledzia, którego nie cierpię, zareagowałem nerwowym parsknięciem i odchyleniem głowy. Arzu to kompletnie zaskoczyło. Odsunęła się ode mnie natychmiast, wykrzywiła twarz i rzuciła gniewnie:

— Wszystko popsuleś!

— Przepraszam, ale... — zacząłem się tłumaczyć, jednak nie dała mi dojść do słowa.

— Jesteś fajtłapa i dureń, Sadiq. — Wstała. — Długo będziesz czekał na kolejną okazję.

Strzepała niewidzialny pył z sukienki w kolorze młodego groszku i oddaliła się szybkim krokiem. Długo jeszcze patrzyłem za nią, stojąc nieruchomo. Mój uśmiech gasł wraz z jej znikaniem.

Pociąg

— Działo się to podczas podróży. Jechałem na korytarzu w przepelnionym wagonie. — Wspominałem wrażenia z podróży do domu podczas dwutygodniowej przepustki, które postanowiłem podbarwić.

Obaj pacjenci pokiwali głowami ze zrozumieniem. Zanurzeni w półmroku, co jakiś czas zaciągali się papierosami, o czym informowały pomarańczowe rozbłyski i następujące po nich chmury tytoniowego dymu.

— Na jednej ze stacji dosiadło się morze ludzi i zrobiło się naprawdę ciasno. Nie dało się wbić szpilki. Jakaś dziewczyna próbowała się przedostać gdzieś głębiej, ale ostatecznie utknęła na dobre tuż przede mną. Na początku nie zwróciłem na nią uwagi. Dopiero gdy pociąg zatrzymał się raptownie, a potem ruszył z nagłą, poczułem, jak mocno się na mnie wsparła. Widziałem ją tylko od tyłu. Szczupłutka, zapewne śliczna żołnierka w mundurze i zawadiacko założonej furazerce z czerwoną gwiazdą. Kasztanowe włosy miała spięte w kucyk, który czasem mnie łaskotał w nos.

Spróbowałem się rozluźnić, aby ze swoich romantycznych fantazji sklecić jakąś pikantną opowieść, którą kupią i dadzą mi spokój. Koledzy po chwili ucichli, zasłuchani w mój głos i przedstawianą historię.

— Opierałem się całym plecami o ściankę przedziału, a dziewczyna próbowała się trzymać poręczy pod oknem przed sobą. Z czasem coraz ciężiej jej to szło, zwłaszcza gdy pociąg raz po raz ostro hamował, a potem przyspieszał. Trudno było w takich warunkach zachować pion. Wspierała się na mnie coraz bardziej. W pewnym momencie szarpnęło wyjątkowo mocno, wieźli nas dosłownie jak kartofle, i dziewczyna całym ciałem, plecami właściwie, spoczęła na moim brzuchu. Automatycznym odruchem przyciągnąłem ją i objąłem od tyłu, żeby nie upadła. Niebezpieczeństwo minęło, jednak nadal ją trzymałem. Na początku żołnierka próbowała się uwolnić z objęć, jednak czułem, że robiła to bez szczególnego przekonania. Staliśmy w uścisku przez dłuższą chwilę, po której rozluźniłem ręce, ale tym razem dotykałem już nie jej ramię, lecz bioder. Najpierw trochę się wierciła, później prawdopodobnie zrobiło jej się wygodnie, bo przestała się mościć i miękko ułożyła się na moich piersiach. Mimowolnie, nie wiem z jakiego powodu, zacząłem muskać jej rękę swoją dłonią. Nigdy nie pozwoliłbym sobie na takie zachowanie wobec obcej dziewczyny, w dodatku żołnierki, która nosiła broń — uśmiechnąłem się pod nosem sam do swoich wymysłów — jednak zapewne w sennym zanurzeniu myślałem o czymś miłym i zapomniałem, gdzie jestem i co tam robię. Po jakimś czasie się zorientowałem, że ona odwzajemniła mój dotyk i też zaczęła mnie głaskać. Kompletnie zgłupiałem. Nie byłem na to przygotowany.

Przerwałem, bo zabrakło mi śliny. Nachyliłem się do kubka z resztką wina i z obrzydzeniem wychyliłem je do końca. Na zewnątrz widniało.

— No, no, ciekawie mówisz, chłopcze, opowiadaj dalej — odezwał się Wasilij rozochoconym

głosem.

— Nie wiem, czy wiecie, jak to jest, kiedy znienacka robi się coś, na co człowiek by sobie w ogóle nie pozwolił, gdyby się nad tym zastanawiał. I, co najdziwniejsze to, co robi, działa. To tak, jakby się podeszło do dowolnej kobiety na ulicy i powiedziało, że się chce ją przelecieć, a ona powiedziała „tak”. Myśmy po prostu zaczęli się dotykać. Moje zdziwienie i szok z wolna mijały, bo człowiek z czasem przyzwyczai się do wszystkiego. Opierała się na mnie już całym ciałem, a ja bez zażenowania przygarnęłam ją do siebie obiema rękami. Pięknie pachniała. W pewnym momencie dosłyszałem jej oddech i spostrzegłem, że jest przyspieszony. Dopiero wtedy do mnie dotarło, że ten dotyk i w ogóle cała ta sytuacja sprawia jej przyjemność. Pomyślałem, że stać mnie na więcej. W końcu jestem tankistą. Znalazłem takie miejsce w jej wojskowej koszuli, przez które mogłem dotrzeć opuszkami do gołej skóry. Natychmiast zadrżała. Wyprostowała rękę i opuściła ją niżej, a potem, przesunawszy ją do tyłu, dotknęła mojego uda. Tym razem ja zadrżałem. Nie spodziewałem się takiego obrotu sytuacji. Opuściłem drugą rękę i dotknąłem wnętrza jej dłoni, a wtedy nasze palce zwinęły się w uścisk. Zaczęliśmy bawić się nimi, głaskać i ścisnąć, aż w pewnym momencie mój oddech także przyspieszył. Pulsowało mi w skroniach. Puściłem jej dłoń i sięgnąłem do spódniczki. Uniosłem ją, tak aby dostać się do bielizny. Ku mojemu zdumieniu nie były to siermiężne wojskowe reformy, gdyż wyczułem ozdobną tasiemkę, co mnie jeszcze bardziej podnieciło. Od tego odkrycia moje palce błądziły po brzegu gumki koronkowych majteczek, podczas gdy drugą ręką nadal muskałem jej nagi brzuch i spód piersi w szparze między rozpiętymi guzikami bluzy. Coraz szybciej oddychała. Bardziej to czułem, niż słyszałem poprzez łoskot pociągu. Zacząłem coraz głębiej eksplorować palcami jej bieliznę, aż dotarłem do źródła dobrego i złego. Syknałem, bo w tym samym czasie jej dłoń odnalazła mój rozporek i bardzo sprawnym ruchem go otworzyła. Od ręki znalazła to, czego szukała. Bałem się, że będę głośno jęczeć. Dziewczyna złapała go i zaczęła nim poruszać. Odchodziłem od zmysłów. Naprawdę myślałem, że zwariuję, szczególnie że w tych okolicznościach nie mogłem się szarpać ani wydawać niekontrolowanych dźwięków. Wsunąłem palce w wilgotną czeluść. Wyczułem mały pulsujący guziczek, który zacząłem delikatnie muskać, następnie wszedłem dalej, jak podróżnik zdobywca na nieznaną ziemię, w podnieceniu nie rejestrując, jak już jestem głęboko. Dziewczyna zaczęła drżeć i wbiła mocno paznokcie drugiej ręki w moją dłoń na piersiach. Niespodziewanie ktoś obok nas się poruszył, więc na moment zamarliśmy w bezruchu. Cały czas jednak całowałem jej włosy i lizałem uszy. Szybko odkryłem takie miejsce na małżowinie, które lekko przygryzane od tyłu powodowało jej rozkoszne wstrząsy. Poczułem falę wilgoci, gdy sięgnąłem ręką najgłębiej, jak się dało, a później kolejną, i następne. Musiała mieć mocno zaciśnięte wargi, gdyż z jej ust nie wydostał się żaden dźwięk. Dłoń, którą mnie ujmowała, zaciskała się mocniej i przyspieszyła rytm. Przyjeliśmy to samo intensywne tempo, aż zrobiło mi się czarno przed oczami i wybuchnąłem całym swoim ciałem, całym jestestwem; eksplodował w mojej głowie gwiazdozbiór jasnych, gorejących białym światłem punktów. Jej ciało w tym czasie drgało nieskoordynowanymi szarpnięciami, jakby miała torsje albo palpacje. Potem zrobiła coś, co było dla mnie największym zaskoczeniem.

Zrobiłem pauzę, licząc na efekt. Panowie od razu zareagowali zmienionymi z podniecenia głosami:

— No, co? Gadaj...

— Nie przerywaj...

— Okazało się, że ona przyjęła i zamknęła w dłoni wszystko to, co przyszło ode mnie, a potem bardzo powoli, jakby chciała, żebym tego nie przegapił, podniosła rękę do góry i przycisnęła ją do ust. Poczułem intensywny zapach, gdy wylizowała dłoń do czysta. Potem jeszcze przez kilkanaście minut przytulaliśmy się, całowałem jej włosy i muskałem skórę. Kilka ostatnich godzin podróży przysypiałem rozmarzony i oparty o ściankę z cudowną żołnierką w ramionach. W pewnym momencie, pamiętam to w półśnie, wyprostowała się, odsunęła ode mnie i ścisnęła moją dłoń. Dzisiaj wiem, że to było pożegnanie. Następnie zaczęła z mozołem przesuwać się w kierunku toalety. Szczegółów nie widziałem, bo panował półmrok i mimo iż to miejsce znajdowało się tylko

kilka metrów dalej, to zasłaniały mi ją inne osoby, które wypełniały każdy fragment ciasnej przestrzeni. Uwolniony od ciężaru jej ciała, na chwilę przysnąłem, jednak gdy nie pojawiła się przez kolejne pół godziny, zaniepokojony udałem się jej śladem. Od razu otrzeźwiałem, gdy przyszło mi do głowy, że może chciała mnie tam wciągnąć i wycalować, jednak jej nie odnalazłem. Nie wiem jak, dokładnie kiedy i gdzie zniknęła.

Tamir

Wyszliśmy. Na zewnątrz panował mróz, który skuł miasto zlodowaciałym uściskiem. Z ust wydobywała się para, która zamieniona w obłoczek błyskawicznie zniknęła zaraz po pojawieniu się. Zima w styczniu roku osiemdziesiątego czwartego była wyjątkowo dokuczliwa. Mój buriacki kolega szedł z ociąganiem, co kilka kroków naprzód dodając jeden czy dwa w bok. Nieustannie poprawiałem szalik oraz czapkę, które mu się zsuwały, ale on miał to gdzieś, bełkocząc pod nosem, że minus dwadzieścia dwa to w Buriacji oznaka nadchodzącej wiosny, a nie prawdziwa zima. Przestał się opierać, dopiero gdy mu obiecałem, że w akademiku wypijemy jeszcze po stakańciku *za zdrowie*.

— Widzisz, Tamir... — zacząłem przemowę, gdy dochodził do siebie, podczas gdy ja starałem się odtajać w ogrzewanym wagonie metra. — Ja to od małego szukałem miłości. Właściwie od zawsze...

— *Nawierna?*

Swoimi szparkami oczu poszukał moich, jakby chciał sprawdzić, czy mówię prawdę. Pokiwałem głową.

— Odkąd pamiętam, zawsze czułem się samotny, mimo rodzeństwa i przyjaciół. Ich towarzystwo mi nie wystarczało, bo nie jest tym samym być z bliskimi i mieć dziewczynę, no nie? — zagadnąłem retorycznie, nie oczekując jego opinii.

— I nie miałeś nigdy żadnej dziewczuszki?

— Nie przesadzajmy — obruszyłem się nieznacznie. — Miałem, przed wojskiem, ale to był czysty seks...

— Ale ja pytam o miłość, nie o seks.

— A, o to — udałem żart. — O Arzu już ci opowiadałem. To była miłość niemożliwa.

— Czemu ona chciała się żenić tak od razu? Nie mogła poczekać, aż zmadrzejesz? — zapytał wyjątkowo roztropnie jak na stan, w którym podtrzymałem go za ramię, żeby nie zsunął się z ławki, gdy metro ruszało z kopyta, trzęsło na łuku albo ostro hamowało, czyli bez przerwy.

— Nakazywał to jej zwyczaj wczesnego zamążpójścia. Tradycja, rozumiesz. Całą miłość do sztuki by mi to zabrało, a potem wycisnęło jak cytrynę. Znienawidziłbym takie życie od pierwszego do pierwszego, a potem ją za to obwiniął, rozumiesz?

— *Da, pania!* — Trochę nienaturalnie mocno pokiwał głową i zamarł, jakby przysnął, a potem niespodziewanie się ożywił. — Ale nie odpowiedziałeś, o czym marzysz, Sadiq. — Musiał sobie nagle przypomnieć wątek sprzed godziny, jak to bywa po alkoholu.

— O czym marzę? — Kupowałem czas do namysłu, chociaż od dawna miałem wszystko poukładane w głowie. — Marzę o zwyczajnym życiu, Tamir; o powrocie z pracy do domu, do ukochanej, wspólnym posiłku... Wiesz, ja wszystko widzę obrazami, jak w filmie.

Wpatrzyłem się w migający za oknami metra ciemny tunel o metalicznym zapachu, pełen betonowych konstrukcji, kabli, co chwila błyskających hipnotyzująco lamp.

— Mam przed oczami skromny pokój z kilkoma meblami i lampą nad okrągłym stołem — zatopiłem się w myślach — na którym koronkowa serweta jest częściowo przykryta obrusem. Na środku stoi flakon z pojedynczą różą, którą właśnie przyniosłem dla niej bez okazji, właściwie z okazji święta, jakim jest każdy spędzony razem dzień... Przytulam ją, całuję w milczeniu w czoło, po czym zasiadamy do obiadu. Unosząca się znad zupy para pachnie grzybami, które zbieraliśmy razem jesienią, a jej włosy jaśminem, o czym pamiętają jeszcze moje usta. Polewam nam po kieliszku wina, stukamy się, patrząc prosto w oczy, w których odnajdujemy swoje drugie ja, drugą połowę i bratnią duszę. Jemy w skupieniu, bo miłość jest też ciszą między kęsami, jest uściskiem ręki, gdy prosisz o podanie chleba, jest celebrowaniem chwili i modlitwą o nieskończoność...

Przerwałem, gdy zauważyłem, że mój towarzysz zasnął. „Bałwan jeden — pomyślałem w pierwszej chwili ze złością. — Ja tu się wywnętrzam, a on sobie śpi...”. Za moment jednak uznałem: „A może lepiej, żeby nie wiedział, co przechowuję głęboko w sercu?” — i sam w końcu przysnąłem na chwilę. Obudziło mnie dopiero, gdy zsuwał się z ławki. Ledwie go zdążyłem za ubranie złapać.

Katia

Z Jekateriną Iwanowną – zwaną popularnie Katią – poznaliśmy się w pracy. Na wiosnę tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego, pod koniec pierwszego roku studiów, zatrudniono mnie w zajezdni tramwajowej, która była w Moskwie moją pierwszą posadą z prawdziwego zdarzenia – zresztą innych nie miałem, bo odkąd odkryłem w sobie talent portrecisty (a właściwie po latach rysowania z Arzu, a potem w „spółdzielni” z Elszanem, swoje umiejętności po prostu wyszlifowałem), z powodzeniem udawało mi się utrzymać z ulicznego rysunku. W DEPO – gdyż pod taką skróconą nazwą występowało owo przedsiębiorstwo – zaangażowano mnie na stanowisko kontrolera, który zajmował się rozliczaniem tramwajarzy po ich powrocie z trasy. Pracowałem co drugi dzień. Ponieważ przez cały dyżur motorniczy przyjmowali od pasażerów gotówkę, trzeba było ją bezpiecznie przejąć, policzyć i zdeponować wraz z pisemnym rozliczeniem w kasie zakładowej. Odbywało się to dwa razy w ciągu doby: między dziewiętnastą a dwudziestą wieczorem oraz drugą a czwartą nad ranem. Tramwaj podjeżdżał na zajezdnię i czekał, aż przyjdziemy z drugim kontrolerem, komisyjnie otworzymy kasę z pieniędzmi, niedostępną dla motorniczego, po czym zabierzemy worek. Zarywałem w ten sposób noc, podczas gdy inni studenci w tym czasie balowali w najlepsze w akademiku, ale cóż, trzeba było z czegoś żyć, zanim zacząłem porządnie zarabiać na rysunku. Inna sprawa, że między dyżurami wpadałem najczęściej do azerskiej diaspory w Moskwie, gdzie czekała często na mnie karna porcja wina i kolacja. Raz tyle karniaków uzbierali – czyli moich niewypitych toastów – że przygotowali mi je w... cukiernicy. Co działo się dalej, nie pamiętam.

Tamtego dnia, gdy wszedłem do biura administracji, było już stosunkowo późno i nie mogłem odnaleźć nikogo, kto skierowałby mnie do działu kadr, gdzie miałem dopełnić formalności związanych z zatrudnieniem. Otwierałem kolejne wielkie drzwi, straciwszy rachubę oraz pamięć zawiłej drogi powrotnej. W końcu natrafiłem na wysoki i długi hol, a w nim – wypiętą w moją stronę apetyczną pupę, podeszwy butów, dalej plecy oraz upięte w kok jasnożółte włosy młodej dziewczyny, która szorowała podłogę. Zdążyłem zauważyć tylko, jak się zgrabnie porusza, jednak na dźwięk uchylanych drzwi nerwowo odwróciła twarz w moim kierunku z niezadowoloną miną. Pewnie się obawiała, że bezpardonowo wkroczę na świeżo umytą przestrzeń, jak większość niewychowanych kmiotów. Skąd mogła wiedzieć, że ja do nich nie należę? Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć czy zaprotestować, znalazłem się tuż obok niej i nie przekroczywszy granicy umytej podłogi, zagadnąłem niezdarne wyschniętymi ustami:

— Przepraszam, towarzyszeko...

Moje wargi nie chciały się rozkleić, a język przypominał kołek, blokując drogę słowom. Stałem właściwie nad nią, nie wiem czemu tak blisko, więc gdy się wyprostowała, klęcząc, jej twarz

pojawiła się na wysokości moich bioder. Diabeł podszeptał mi w tamtej chwili kilka niecenzuralnych myśli na temat tej sceny, które zablokowały moją i tak utrudnioną wymowę.

— Co? — ryknęła, spojrzawszy mi gniewnie w oczy.

Czas bez mojej odpowiedzi się przedłużał, lecz gdy tylko dostrzegła moje zakłopotanie, wyraźnie ochłonęła. Kobiety podobno szóstym zmysłem wyczuwają, co jest grane, więc może i ona odczytała w lot moje bezwstydną fantazje. Grunt, że do kadr nie trzeba było iść „po mokrym”, a co jeszcze lepsze, Katia okazała się jednym z kontrolerów, dorabiającym właśnie na ścierce.

Później nie tylko pełniliśmy z przyjemnością wspólne dyżury, gdy nam przypadały, ale coraz częściej zostawaliśmy w zajezdni między zbiórkami pieniędzy, aby w zamkniętych biurach... powtarzać scenę naszego pierwszego spotkania w rozmaitych wersjach i układach. Wyszło na jaw (czemu mnie to nie dziwi?), że erotyczne wizje związane z klęceniem na podłodze administracyjnego holu nie tylko zrodziły się w jej głowie dokładnie w tym samym czasie co moje, lecz także były o niebo bardziej nieprzyzwoite, a wręcz powiedziałbym, że świńskie.

Lena

Do spotkania Leny byłem generalnie waginosceptykiem i tylko związek z Katią Iwanowną stanowił miłosny układ obfitujący w nieznanne mi wcześniej gry i zabawy dla dorosłych. Ach, oczywiście: gdzież mógłbym zapomnieć o cycatej Elenie, jednak to była jedynie krótka i wstydliva inicjacja seksualna, zresztą mało udana, która dopiero w mojej pamięci obrosła w podsycaną fantazjami legendę, utrwalaną przy okazji opowiadania kolejnej jej wersji chłopakom w wojsku. Dopiero Lena, mimo swojego eterycznego emploi, uzmysłowiła mi (i to dosłownie: każdym zmysłem), czym jest prawdziwe wyuzdanie i niczym nieskrępowane seksualne rozpasanie, otwierając przede mną arsenał konfiguracji i – nie bójmy się tego słowa – perwersji, o których wcześniej nie słyszałem ani nigdy mi się nie przyśniły. Myślę, że nawet mój osobisty szatan, który na co dzień na pełen etat podszeptuje mi różne świństwa, musiał się poczuć skonsternowany – że się tak wyrażę. A cóż takiego zбочzonego robiła moja nowa dziewczyna w chwilach, gdy akurat nie przesypiała życia i nie marzyła o robieniu zakupów w Nielimitowanym Budżecie?

Otóż, po pierwsze, Lena chodziła po domu nago, a że naszym „wspólnym domem” stał się mój akademik (nie miała gdzie mieszkać, jak się okazało, a tego wieczoru, którego mnie zaczęła na Arbacie, po prostu nie miała gdzie spać, więc byłem niejako jej jedyną szansą). Mnie, odurzonemu oszałamiałym urokiem jej wdzięku i umiejętności, zdawało się to nie przeszkadzać, lecz musiałem zadbać o to, aby nie paradowała tak z wywalonymi cyckami przed oczami Araba – mojego nowego dewizowego kolegi, który pojawił się w miejsce Tamira. Chłopak, gdy po raz pierwszy natknął się na jej wymuskane wyobraźnię Boga ciało, nagie, jak je Stwórca uwił z męskiego zebra, a potem mnie powierzył w opiekę, o mało nie zemdłał, a może i zemdłał, tyle że dopiero po tym, jak cofnął się do swojego pokoju niczym oparzony. Może się przestraszył, że przeoczył własną śmierć i przyszła po niego pierwsza z czterdziestu hurys niebiańskich, aby zaprowadzić go bezpiecznie do ogrodów Pana? Musiał jednak szybko dojść do siebie i zacząć chłodno kalkulować – o ile można tak powiedzieć o koleśku, który dostał dosłownie bzika na punkcie mojej dziewczyny. Miałem nieodparte wrażenie, że pojawiał się w otwartych drzwiach pokoju przy każdej kolejnej okazji, czyli dokładnie w momencie, gdy Lena objawiała urbi et orbi to, co miała najlepszego, jakby zwyczajnie na nią czatował.

Po drugie – wracając do tematu wyuzdania – okazało się nagle, że łóżko, szczególnie ten trzeszczący kłopot w akademiku, nie jest najlepszym miejscem do uprawiania seksu, w każdym razie należy je umieścić gdzieś na zdecydowanie dalszej pozycji, za parkowymi ławkami (o ile są suche), pniami drzew, o które można się wygodnie oprzeć i nie bać, że się wywrócą albo załamają (jak rozklekotane biurko z płyty pilśniowej w moim pokoiku), siedzeniami w półpustych kinach, a szczególnie w nocnych autobusach czy metrze, gdzie partnerka ma zdecydowanie więcej miejsca,

aby usadawiając się przodem, pokazać, jak bardzo jej na tobie zależy (albo odwrotnie, gdy chcesz ją za coś przeprosić), nie mówiąc już o ciemnych miejskich zaułkach, bramach o smaku wódki i zapachu świeżo oddanego moczu.

Po trzecie, zabawki. Nie do wiary, czego to ludzie nie wymyślą! Lena, na długo nawet przed zachodnim zdegenerowanym konsumpcjonizmem, który kazał stworzyć cały przemysł erotyczny, aby odpowiedzieć na plugawe gusty kapitalistycznych społeczeństw, wymyśliła elektrostymulację opartą na bateriach do latarki i znalazła tyle zastosowań dla przedmiotów codziennego użytku, które stały się nieodzownym akcesorium naszych erotycznych podróży, że nie będę nawet przytaczał przykładów, aby dzisiejszych umysłów, choć zatrutych internetowym szlamem i dwudziestopiętnastowieczną rozwiązłością, nie szokować, a maluczkich nie uczyć zberezeństw. Jednym słowem – eksperymentowaliśmy, które to słowo nie oddaje nawet cienia tego, co faktycznie uprawialiśmy. I nie ma tu miejsca na żaden dystans ani perspektywę. Grunt, że poruszony hałasami z naszego pokoiku sąsiad z jakiegoś nieznanego mi powodu przestał używać niektórych kuchennych przedmiotów, w tym... durszlaka. Hmm, co też on sobie wyobrażał?

A po czwarte i potraktujmy, że ostatnie: układy, układziki, gry i męsko-damskie konstelacje. Ech. I to było cudowne. Zero nudy, nieznośnej powtarzalności i schematu, który zabija spontaniczność i świeżość...

Zrozumiałem wtedy kilka ważnych rzeczy: mianowicie, że o związek trzeba dbać także w tej dziedzinie, aby się nie wypalił jak wszystko, co podlega działaniu czasu; nie dać się sobą znudzić. Ponadto, że dwoje dorosłych ludzi może robić – znów nie tylko w tej sferze – to, co im się żywnie podoba, co im tylko przyjdzie do głowy; mogą skakać na główkę z szafy jak „netoperek” (oj, tego chyba nie ćwiczyliśmy), jeśli tylko oboje mają na to chęć, nie robią sobie wzajemnie krzywdy i ufają, że żadne z nich nie przekroczy magicznej czerwonej linii, którą otwiera słowo „nie”. Jednocześnie doświadczyłem na własnej skórze, że ten kij miał dwa końce i o tych bezwstydnym doznaniach nie dało się zapomnieć. Wiedziałem, że jestem nimi skażony i że bez choćby namiastki wyuzdania nie będę pod tym względem nigdy szczęśliwy. Tak, to była swoista pułapka diabła.

Misza-Alosza

W koronie największego z figowców miałem tajną kryjówkę. Można było w niej przebywać jedynie poza okresem zbioru soczystych owoców, który następował podczas wakacji. W pozostałe miesiące, gdy nie chciałem iść na zajęcia, udawałem, że wychodzę do szkoły, a potem zakradałem się pod drzewa od strony ogrodu. Czasem zabierałem ze sobą najlepszego kumpla, Miszę, urodzonego dwadzieścia sześć dni po mnie, który wraz z rodzicami mieszkał w naszej kamienicy.

Misza – wówczas wyższy ode mnie – był lekko piegowaty i miał jaśniejszą karnację, jak typowy Słowianin. Nosił zawsze krótko ostrzyżone włosy, niby rekrut. Marzył zresztą, żeby zostać Bohaterem Związku Radzieckiego. Z tego samego powodu niezmiennie nakładał spraną marynarską koszulkę w granatowe paski, na której z czasem plamy i przetarcia tworzyły mapę, niczym kratery wydłubane przez meteory po ciemnej stronie Księżyca. Raz na jakiś czas mama kupowała mu nową w Rosji, gdy jechali w odwiedziny do rodziny w Murmańsku, albo też nowa koszulka pojawiała się w otrzymanej paczce, z której frykasy wyjadaliśmy w mojej kwaterze pośród gałęzi największego z trzech figowców. Ulubioną grą Miszy była wojna. Mnie wyznaczał rolę faszystowskiego trupa, ewentualnie jeńca, podczas gdy sam wcielał się w niezwyciężonego Aloszę z *Ballady o żołnierzu*. Nie przepadałem za tymi zabawami z oczywistych powodów. Moja mama także reagowała nerwowo, gdy Misza Suwołow vel Alosza Skwarcow wpadał na podwórko przystrojony w gałązki dębu powtykane za pasek od czapki z daszkiem, imitujące wojskowe zamaskowanie, oraz uzbrojony w patyk udający karabin Kałasznikowa z okrzykiem: „Uraaaaa!” albo dźwiękonaśladowczym: „tratatatata!!!”, czasem dorzucając: „*Za rodinuuu! Na tanki!*”, a nawet i: „*Za Stalinaaaa!*”.

Zdecydowanie preferowałem zabawy z dziewczynkami. Wśród nich generalnie panowała zgoda oraz względny spokój i choć dziewczyny nudziły mnie śmiertelnie z tymi lalkami oraz imitowaniem prawdziwego życia – zabawą w sklep, pocztę czy przewijanie noworodka to wołałem ich towarzystwo od chodzenia po „polu minowym” z rękami uniesionymi do góry dotąd, aż Misza uzna, że jeniec właśnie wszedł na minę pułapkę i wyleciał w powietrze. A potem *abarot*.

W koronach drzew rozciągał się jednak mój świat i tam ja decydowałem, w co się bawić, przynajmniej dopóki Misza nie szantażował, że sobie pójdzie, jeśli nie zrobimy tego czy tamtego. Czasem mu ulegałem, bo nie chciałem siedzieć na drzewie sam jak palec; a niekiedy wzruszałem ramionami na jego *dictum*, przedkładając nad zabawę w wojnę samotną kontemplację światłocieni tworzonych przez niezliczone tańczące na wietrze liście albo obserwowanie ptasich godów; czy to, jak wytrwale budowały i stale naprawiały swoje gniazda. To ostatnie zresztą zainspirowało mnie, by namówić Miszę na budowę wygodnej „wieży widokowej”, służącej wielogodzinnemu przesiadywaniu i nazywanej wymiennie „gniazdem roty Maxim, wzór 05”, który to termin – łatwo się domyślić – forsował Misza. Dlatego przez pewien czas, poza udawaniem, że nas tam nie ma, naszym głównym zajęciem było usprawnianie fortyfikacji. W tym celu wnosiliśmy rozmaite deski, podarte koszulki do wyściełania siedziska, z których jedna lub druga matka nie zdążyła zrobić szmat, a czasem kawałek sznurka, którym zabezpieczaliśmy konstrukcję przed zawaleniem. Któregoś dnia przytargałem maminy album ze zdjęciami dalekich miast i egzotycznych krain, jednak kolegę szybko one znudziły. Misza nie miał w domu książek, za to miał procę, którą celował do ptaków, gdy sądził, że tego nie widzę. Niestety, widziałem, ale nie reagowałem nie wiedząc czemu. Nigdy tego nie potrafiłem, nawet potem, w dorosłym życiu. Widząc przemoc, wołałem udawać ślepcę – choć kroilo mi się serce, gdy Miszy udało się złowić ptaszka lub rozwalić gniazdo – jakbym się bał konfliktu z silniejszym kolegą. Może zwyczajnie nie umiałem się bić albo obawiałem się utracić przyjaciela? Najczęściej wtedy próbowałem odwrócić jego uwagę od bezbronnych zwierząt, namawiając go na strzał z twardych załączków owoców w szyby sąsiadów, którzy na odgłos stuknięcia wyglądali przez okno, szukając źródła dźwięku. Trzymaliśmy się wówczas za nosy i zasłaniali usta, żeby nie parsknąć ze śmiechu. Raz w takiej szamotaninie wypadł z mojej teczki zeszyt do geografii i prześlizgnąwszy się po kilku gałęziach, spadł pod okno kwartiry Miszy. Przechodząca tamtędy chwilę później Halida podniosła go z ziemi i zabrała, zapewne sądząc – skądinąd słusznie – że wypadł siostrzeńcowi z teczki. Nie przyszło jej tylko do głowy, że w tym czasie siedziałem dziesięć metrów nad nią.

Misza-Alosza 2

— To co, idziesz?

Miszka stanął z tym pytaniem w drzwiach, lecz nie przekroczył progu, mimo że moja matka już dawno przestała go przeganiać z naszego mieszkania. Odkąd staliśmy się najgorszymi uczniami, czyli gdzieś w okolicach trzeciej klasy szkoły powszechnej, i rozsadzono nas z jednej ławki „za gadulstwo oraz przeszkadzanie na lekcjach”, matka zakazała nam widzeń, dopóki nie poprawimy ocen. Interweniował sam pan dyrektor, który najchętniej rozdzieliłby nas do różnych oddziałów, jednak równoległego wówczas nie było, dlatego głośno rozważał, czyby któregoś z nas nie przenieść do innej szkoły.

[...]

— A pamiętasz, jak kombinowaliśmy, żeby się zobaczyć?

Szliśmy już drogą do Bilgoh, a ja przez cały czas miałem w oczach obraz Miszy stojącego przed progiem mojego mieszkania, jakby ktoś rzucił urok na grzeszną duszę, zaklinając ją u wrót boskich ogrodów. Uśmiechnąłem się do przyjaciela jak najserdeczniej, aby tamten się choć trochę rozchmurzył. Widocznie krążyły mu po głowie te same przykre wspomnienia.

Misza nie odpowiedział, tylko przytaknął nieznacznie. W ogóle stał się małomówny.

— Wchodzi matka, a ja rżnę głupa, że się uczę i coś tam bazgrzę, przypominasz sobie...?

— xxx —

Z tego, co dostrzegłem w odbiciu lustra, mama rozejrzała się czujnie po pokoju.

— Wyłaż stamtąd — rzuciła, patrząc na mnie, gdy udawałem pochylonego nad pracą domową.

Odwróciłem się, robiąc okrągłe oczy, nie przymierzając jak koza Mania, gdy podstawiałem jej pod nos niespodziewany smakołyk, jabłko albo orzechy.

— Do kogo mama mówi?

— No chyba nie do siebie. — Stanęła nade mną i wzięła się pod boki. W jednym ręku dyndała jej ścierka. — Zostawiłam cię samego dosłownie na chwilę, a ty co? Magię trenujesz?

— Odrabiam lekcje — odpowiedziałem z udawanym wyrzutem, dopiero teraz zorientowawszy się, że kartka przede mną jest prawie pusta, nie licząc kilku stworzonych naprędce bazgrołów. Zasłoniłem pracę ręką, ale na niewiele się to zdało. Byłem przekonany, że matka na pewno już to dostrzegła, a jeśli nawet nie to, to mój spóźniony ruch.

— Może niepotrzebnie — rzekła na to, zdumiewając mnie do tego stopnia, że aż otworzyłem usta.

— Może ty już masz świetny zawód i zamiast tracić czas na naukę, powinieneś iść zarabiać pieniądze?! Do cyrku, na jakiegoś prestidigitatora albo coś?

Moje oczy rosły, bo mama nigdy w ten sposób się nie odzywała ani nie żartowała z obowiązków szkolnych.

— Bo jeśli w szkole sobie nie radzisz i w ogóle ciebie to nie interesuje, a tu w pięć minut zdołałeś nauczyć swoje kapcie tańca pod zasłoną, to ty, dziecko, masz talent!

Te ostatnie słowa ryknęła, wyciągając jednym ruchem Miszkę zza kotary i wyprowadzając go za ucho za próg mieszkania.

— To świetny numer — wrzasnęła mi do ucha, przechodząc, nie zapomniawszy po drodze kilkakrotnie przeżegnać mnie ścierką przez głowę. — Ludzie będą płacić pieniądze, żeby to obejrzeć! — dodała i wyprowadziła mojego przyjaciela przed dom. — I nie waż mi się tutaj kręcić, dopóki obaj nie poprawicie ocen! — rzuciła na koniec.

Ocen nie poprawiliśmy, więc praktycznie przestaliśmy się u mnie spotykać.

— Hahahaha — wybuchnęliśmy obaj śmiechem na to wspomnienie.

Misza nareszcie się wypogodził. Kochany Misza. Świetny kompan. Niezawodny druh.